

# Okruchy Dziennika

MIECZYŚLAW F. RAKOWSKI

Coraz częściej zadaję sobie pytanie, na ile to, co dzieje się w życiu politycznym kraju (mam na myśli niezliczoną ilość obelg, nieuzasadnionych oskarżeń jakimi obrzucają się politycy, ba, nawet rękoczyni — co zademonstrowały niedawno czołowe postacie z KPN) jest zjawiskiem przejściowym, nieuniknionym w epoce tak wielkich przemian, a w jakim stopniu trwałym. Może są to przywary, których, jako nacja, nie potrafimy się wyzbyć? Kto zna historię Polski szlacheckiej a także międzywojennej, zapewne skłonny będzie uznać je za to drugie. Co się mnie tyczy, obawiam się, że mamy coś takiego w naturze, co nie pozwala nam wyzbyć się rażących wad. Nie potrafimy sobie z nimi poradzić, choć zapewne wielu z nas tego by pragnęło.



Jan Nowak-Jeziorański od czasu do czasu zabiera głos w mediach wytykając narodowi, że nie rozumie obecnych czasów, że jest więźniem mitów wbitych mu do głowy przez władców PRL. W jednym z artykułów opublikowanych pod tytułem „Bakcyle PRL”, za punkt wyjścia przyjął stwierdzenie katolickiego publicysty „o kryształowej przeszłości”, który powiedział mu, że „*my wszyscy jesteśmy zarażeni bakcyłem komunizmu*”. Ów bakcyl to zespół mitów, które utkwily w podświadomości ludzkiej. Jeziorański wynalazł ich pięć, ale zanim o niektórych z nich, to chciałoby się zapytać, jak to jest z tym zarażeniem. Od kilku lat słyszę i czytam, że naród nie uległ wpływowi komunistycznym, że dzielnie bronił się przed zniewoleniem i nagle okazuje się, że to nie tak.

A teraz o jednym z mitów. *„Wszchemoc państwa. Władza jest wszystkim, człowiek niczym. Rezultat: alienacja połowy społeczeństwa. Połowa ludności nie bierze udziału w wyborach, nie chce korzystać z wolności odzyskanej za cenę straszliwych ofiar i poświęceń. Po co głosować? I tak nic się nie zmienia. Ci na górze robią z nami, co im się podoba”*. *„Większość obywateli wciąż czuje się biernym przedmiotem, a nie podmiotem władzy. Nie usiłuje wpływać na to, kto będzie rządził”*.

Otóż, delikatnie mówiąc, co zdanie, to wielkie uproszczenie by nie powiedzieć, mijanie się z prawdą. Co do wszchemocy państwa, to zgoda; choć na różnych etapach powojennej Polski owa wszchemoc różnie wyglądała, ale stwierdzenie, że człowiek był niczym, jest po prostu najoczywistszą bzdurą. Niech Jeziorański zapyta bezrobotnych, rodziny, które z powodu mizerności finansowej nie stać na danie dziecku do szkoły drugiego śniadania, czy rzeczywiście byli „niczym”. Niech zapyta miliony rodzin robotniczych, czy

czuły się „niczym”, gdy ich córki i synowie bez trudu przekraczali progi wyższych uczelni, a ich dzieci korzystały z kolonii. Można by wiele jeszcze pytań zadać Jeziorańskiemu, ale nie warto, bo przecież legendarny kurier w swej nienawiści do PRL nie zważa na fakty. Ot, chociażby to, że połowa ludności nie bierze udziału w wyborach, bowiem uważa, że i tak się nic nie zmieni. Nie wykluczam, że są i tacy obywatele, ale są i inni. Tacy, którzy pozostali w domach, ponieważ uznali, że kolejne rządy solidarnościowe po prostu ich wykiwały. Wystarczy spojrzeć na liczne badania opinii publicznej, by znaleźć w nich potwierdzenie tego faktu. Nieprawdą jest też, że większość obywateli nie usiłuje wpływać na to, kto będzie nimi rządził. Właśnie taka większość głosowała na SLD, PSL i Unię Pracy, ponieważ nie było jej obojętne, kto będzie rządził.

A oto inny mit. „Utrwalony w mózgzach socjalistyczny egalitaryzm. Lepiej mniej, byle równo”. Owszem, tendencje do urawniłowki istniały, chociaż trzeba pamiętać, że w całej historii ludzkości dążenie do równości jest stałą cechą człowieka. Na ile pamięć mnie nie zawodzi, nasilenie walki z myśleniem w duchu urawniłowki przypadło już na lata 70. Sam zdzieriałem sobie gardło wyjaśniając szkodliwość takiego myślenia. No, a już oczywistym nadużyciem jest stwierdzenie, że „*Idealem socjalizmu był mały bochenek dochodu narodowego, idealnie równo podzielony na żalósnie cienkie kromki. Rezultat: rozpaczliwy niedostatek ludzi pracy*”.



W audycji tv „Godzina szczerości” wybitnemu politykowi SLD prowadzący zacytował jego wypowiedź, że „*niefortunnie wstąpił do PZPR, namówiony przez profesorów...*”. Bohater programu coś tam bąknął, a mnie zrobiło się po prostu smutno. Dlaczego, na Boga, wielu moich współtowarzyszy wyrzeka się swej przeszłości, przedstawiając się jako ofiary nacisków, perswazji itp.?



W związku ze śmiercią generała broni Stanisława Maczka, prasa przypominała jego wspaniałą drogę bojową. Przypomniano, że władze PRL pozbawiły go obywatelstwa polskiego. To prawda. We wrześniu 1946 r. Rada Ministrów, jeszcze nie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, przyjęła uchwałę o pozbawieniu obywatelstwa polskiego 75 oficerów i generałów. Formalną podstawą tej uchwały było to, że bez zgody właściwych władz polskich wstąpili do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczeń, paramilitarnej jednostki utworzonej przez Brytyjczyków. Takiej zgody wymagała wówczas obowiązująca ustawa z 20 stycznia 1920 r. o obywatelstwie polskim. Jest rzeczą oczywistą, że decyzja przyjęta przez rząd Osóbki-Morawskiego miała motywacje polityczne.

17 lutego 1989 roku skierowałem do gen. Maczka list, w którym m.in. pisałem: „*wśród wielu, bardzo wielu spraw, które mam do załatwienia, poczesne miejsce zajmuje chęć naprawienia krzywdy, której Pan, Panie Generale, doznał w przeszłości od polskich władz. Ubolewam nad tym, jak oceniono Pana, Panie Generale i pańskich żołnierzy. Pomimo wielu krzywdzących ocen i decyzji ówczesnych polskich władz, pozostawał Pan dla nas – moich rodaków – wzorem*

*patrioty i żołnierza. Jest Pan w Polsce człowiekiem obecnym, znanym i szanowanym. Stał się Pan, Panie Generale, symbolem bohaterskiego dowódcy. Wszystkie te opinie są ze wszech miar zasłużone. Składam pod nimi swój podpis*". List kończyłem pytaniem: „*Co, jako premier rządu polskiego, mógłbym dla Pana zrobić, żeby choć w części zrekompensować Panu, Panie Generale, krzywdy i ból, których doznał Pan w przeszłości?*”. 17 marca 1989 r. Rada Ministrów PRL na mój wniosek uchyliła wspomnianą uchwałę z 1946 r., podobnie jak inną, pozbawiającą obywatelstwa polskiego Stanisława Mikołajczyka.

Tylko „*Życie Warszawy*”, w związku ze zgonem gen. Maczka, przypomniało, że obywatelstwo polskie „*przywrócone zostało mu dopiero w 1989 r. przez rząd Rakowskiego*”.



Komu zależało na upadku dwóch fabryk warszawskich – „Kasprzaka” i „Róży”, pyta Andrzej Murat na łamach „Sztandaru Młodych”. Zdaniem sędziego, Dariusza Czajki z warszawskiego Sądu Gospodarczego, firmy te (podobnie jak fabryka półprzewodników „Cemi”) nie musiały upaść. Brak nadzoru państwowego doprowadził do ogromnych strat. „Cemi” była niegdyś podstawą rodzimego przemysłu elektronicznego. Po 1989 r. zabrakło określenia roli, jaką miałyby „Cemi” spełniać w polskim przemyśle. Po upadłości okazało się, że wartość jej majątku wynosiła 200 mld zł. Brak nadzoru objawił się także w przypadku „Kasprzaka”. Nie reagowano, gdy dyrektor wyprowadzał unikalną w Polsce linię technologiczną do prywatnej firmy za mniejszościowe udziały. Zakład zadowolił się produkcją spłuczek klozetowych i importem radioodbiorników z Azji. W „Róży” organ założycielski powołał likwidatora. Ten, cały potencjał produkcyjny wniósł jako aport do prywatnej spółki. W zamian „Róża” dostała udziały, które wkrótce zostały sprzedane dużo poniżej wartości. Likwidator w nagrodę został członkiem rady nadzorczej spółki, która przejęła majątek „Róży”. Straty wynikające z jego działalności oceniono na kilkanaście miliardów złotych. Dlaczego ministerstwo nie reagowało? Ponieważ urzędnik nadzorujący „Różę” był doradcą likwidatora do spraw marketingu. Tyle autor artykułu. Szkoda, że owego procesu zniszczenia majątku stworzonego przez naród nie powiązał z konkretnym rządem. Na ile sobie przypominam, działo się to przed powstaniem rządu centrolewicy. Przykłady podane przez Andrzeja Murata mogą być uzupełnione o kolejne. Może autor podjąłby się trudu sporządzenia listy fabryk, które podzieliły los tych trzech?

A swoją drogą, może poseł Bogdan Pęk wcale nie jest przesadnie uczulony na punkcie trwonienia majątku narodowego w procesie prywatyzacji?



Co człowiek, to styl. Rzecznik prezydenta, red. Spaliński komentując wypowiedź jednego z liderów SLD, że koalicja w zamian za niewetowanie przez prezydenta ustaw, przede wszystkim gospodarczych, może ustąpić w sprawie szefa MON, powiedział (cytuję za „Gazetą Wyborczą”): „*Niedawno mówili, że z Pastusiaka nie zrezygnują. Ale żadne targi nie wchodzą w grę. Nie rozumiem, jak mogą nam*

*proponować coś, co jest nasze, a nie ich. Jakie dobre chłopaki! Chyba zapomnieli, że bez prezydenta, ani ministra obrony, ani kierownika nie można powołać. Chcą sprzedawać Inflanty".* Prawda, że język to wytworny, przesiąknięty szacunkiem dla dwóch rządzących z woli wyborców partii? A co na to chłopaki? Ano, nic.



Znana to prawda, że rządzący, niezależnie od koloru partii z jakich się wywodzą, lubią narzekać na rządzonych. A to, że ich nie rozumieją, że fałszywie odczytują ich intencje, że posądzają o złą wolę itp. Dotyczy to rzecz jasna nie tylko naszego kraju. Jest to pewna prawidłowość. Najtrafniej wyraził ją Bertolt Brecht, który powiedział, że skoro rząd jest dobry a naród zły, to trzeba zmienić naród. Co jednak zdumiewa, to wymyślanie narodowi przez tzw. autorytety i całe stado różnych panów spod pravicowych znaków. Poeta Zbigniew Herbert powiada: „*wbrew temu co się sądzi uważam, że Polacy są potwornymi konformistami i brak im rzeczy zasadniczej, która odróżnia mężczyzn od nie-mężczyzn – odwagi cywilnej...*”. Ksiądz Zbigniew Grzegorz na łamach „Słowa” białdał, że w wyborach wrześnieowych Polacy, bez przymusu, oddali władzę w ręce byłych komunistów „*za przysłowiową miskę soczewicy*”. Można by sporządzić długą listę epitetów, jakimi różni panowie i panie obrzucają naród. Ale darujmy sobie ten trud. Rzecz w tym, że epitety te mają konkretne podłoże polityczne. Gdyby w wyborach wrześnieowych naród głosował na osoby z etosu, to oczywiście usłyszałby sporo pochwał. Ale, niestety, tego nie uczynił, więc należą mu się ostre słowa nagany.



W odróżnieniu od Polski, w armii czeskiej nie ma kapelanów. Minister obrony, Vilem Holaši powiedział, że żołnierze mogą mieć codziennie przepustkę i nie mają problemów by w tym czasie uczestniczyć w nabożeństwach. Kościół katolicki chciałby jednak być obecny na terenie wojska. Biskup František Obkovič jest jednak zdania, że ksiądz wojskowy powinien być raczej żołnierzem służby czynnej niż oficerem, by być bliżej „*bardziej potrzebujących żołnierzy*”. Ciekawe byłoby usłyszeć opinię w tej materii gen. dyw. biskupa Głódzia. Biskup czeski powiedział też, że czeska armia nie jest jeszcze gotowa do utworzenia funkcji kapelanów. Może będzie gotowa za 10 lub 20 lat, dodał.



W gruncie rzeczy jest to drobiazg, ale warto mu jednak parę zdań poświęcić, ponieważ dotyczy pewnego ważnego środowiska. Mam na myśli środowisko aktorskie. Otóż zauważyłem, że niektórzy aktorzy z pokolenia, które robiło karierę w PRL, ulubieńcy publiczności a także władzy, starają się przekonać wszystkich, że oni dobrze wiedzieli jakie to szatańskie zło tkwiło w tym systemie. Jeśli byli nagradzani przez różne jury, w których nie brakowało ich kolegów, to w każdej nagrodzie można było dostrzec zamysł polityczny, chęć



uwiedzenia aktorów, przekupienia ich, itp. Prawda, że je kasowali, ale zawsze ze świadomością, że ci którzy o nich decydowali, mieli nieczne zamiary. Nie ustrzegła się tej błagi także znakomita aktorka krakowska, Anna Dymna. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” powiedziała m.in.: „*gdy przewracała się komuna dostawałam nagrodę Złotego Ekranu za mało znaczący udział w poetyckim widowisku telewizyjnym. Wiedziałam jednak, że przyznano ją jakby z rozdzielnika – bo trzeba było podlizać się środowiskom artystycznym. Wtedy zrozumiałam, że nagrody nie «nagradzają», ale są narzędziem polityki kulturalnej*”.

Chciałoby się powiedzieć: Droga pani Anno! Zważywszy rolę kultury w życiu narodu, nagradzanie przez władzę wybitnych artystów jest psim obowiązkiem każdej władzy, co wcale nie musi oznaczać podlizywania się środowiskom artystycznym. Co się zaś tyczy konkretnej nagrody, to proszę nie nadawać jej aż tak wysokiej rangi. Złoty Ekran był nagrodą ustanowioną przez tygodnik „Ekran”. Jury z reguły przyznawało ją znakomitościom aktorskim i z całą pewnością nie było narzędziem polityki kulturalnej. W owych latach różne pisma, dzienniki i tygodniki posiadały swoje nagrody. Tak np. „Polityka” każdego roku przyznawała kilka nagród za najlepsze książki z najnowszej historii Polski. Lista nagrodzonych jest już dziś, po latach, ogromna. Są na niej bardzo różne nazwiska, od Sasa do Lasa. Jury złożone z najwybitniejszych polskich historyków z całą pewnością nie było narzędziem polityki naukowej partii. Nie mam zamiaru pomniejszać znaczenia prasowych nagród, ale, droga pani, czy aktorze tej klasy przystoi podnosić Złoty Ekran do rangi przemyślanego posunięcia autorów polityki kulturalnej państwa? A jeśli już chodzi o podlizywanie się, to można by wiele powiedzieć o tych artystach, którzy po 1989 r. starali się przekonać nową władzę, że zawsze byli przeciwnikami komuny.



Jak się pisze historię? Ano, różnie. Tak bywało w czasach PRL. Szczególnie w pierwszych dwudziestu latach dominowała stroniczość i nierzetelność. Później było już znacznie lepiej, ale białych plam było aż nadto. A jak jest teraz? Też chyba różnie. W czasach peerelowskiego schematyzmu (lata 50. i 60.), wszystkim nieszczęściom Polski winna była czarna reakcja. Teraz z kolei winni są komuniści. W naszych czasach nie brak też było manipulantów. A teraz? Mam przed sobą artykuł Jarosława Kurskiego („Gazeta Wyborcza”, 14 XII 1994) o poznańskim Instytucie Zachodnim, wielce zasłużonej placówce niemcoznawczej. W połowie grudnia odbyły się w Poznaniu uroczystości pięćdziesięciolecia Instytutu. Kurski przypomniał okoliczności jego powstania a więc daleką, bardzo daleką przeszłość, którą skwitował przypomnieniem poufnej oceny sporządzonej dla Komitetu Centralnego PZPR na początku lat 50., tzn. okresu stalinowskiego. W ocenie stwierdza się, że „*politycznie instytut jest całkowicie opanowany przez katolików*”, a „*partia nie ma żadnego wpływu na pracę instytutu...*”. Kto był autorem tej oceny, Kurski niestety nie podaje. Dodał jeszcze, że w latach 40. i 50. aresztowano niektórych naukowców za współpracę z podziemiem i Delegaturą Rządu na kraj. A co było po tych ponurych latach?

placówki". Ani słowa o olbrzymim dorobku Instytutu w latach 1956-1989. Nic z tych rzeczy. Taki to manipulował z red. Jarosława Kurskiego. Być może nie miał innego wyjścia, skoro połowa tej publikacji poświęcona jest opisowi fatalnej sytuacji w jakiej po 1990 r. znalazł się Instytut. Nikt nas nie potrzebuje, nikt nie jest zainteresowany analizami, opracowaniami itp. Dyrektor Instytutu, prof. Wolff-Powęska opowiedziała autorowi o dziesiątkach memoriałów rozesłanych do różnych gremiów, dziesiątkach wystąpień i... „groch o ścianę”. Nikt nie składa zamówień na ekspertyzy, nie prosi o informacje, nie korzysta z bogatych zbiorów Instytutu. Ośmielam się zauważyć, że drzewiej bywało inaczej. Finansowo Instytut ledwo dyszy.

Małe manipulacje objawiło się jeszcze w innej sprawie. „*W tym roku, pisało, odbyła się debata poświęcona nacjonalizmowi, w której wzięli udział byli szefowie rządów: kanclerz Helmut Kohl i premier Tadeusz Mazowiecki*”. Gwoli ścisłości trzeba przypomnieć, że była to polsko-niemiecka konferencja poświęcona neonacjonalizmowi i fundamentalizmowi politycznemu we współczesnej Europie. A udział w niej wzięło trzech byłych szefów rządów. Tym trzecim byłem ja. Widocznie manipulacja uznała, że nie ma potrzeby wymieniać mojego nazwiska. Ono pisze historię według własnego uznania. Niech pisze.



Przywódca Unii Wolności, Tadeusz Mazowiecki stawia przed swą partią pograżoną w wewnętrznych sporach dwa zadania: przeciwstawianie się „peerelizacji” Polski i autorytarnym tendencjom prezydenckim. Powiada, że „*między tymi zadaniami nie ma wyboru, jeśli Unia nie chce stracić swego oblicza*”. Pomijając fakt, że co bystrzejsi obserwatorzy sceny politycznej nie bardzo wiedzą jakie jest oblicze szacownej Unii, mnie intryguje kolejny nowy twór słowny – „peerelizacja”. Czyżby pierwszy niekomunistyczny premier uznał, że rząd Pawlaka wkroczył na drogę powrotu do PRL, szczególnie w sposobach sprawowania władzy? Rozumiem, że opozycja z natury swej musi być wobec rządu krytyczna, ale zarzut o „peerelizację” to nic innego, jak gonienie w piętę. Czy naprawdę T. Mazowiecki uważa, że ktokolwiek taki zarzut potraktuje poważnie? Inne czasy, inni ludzie, inny Sejm itd. itp.



Komentarz bułgarskiego politologa, Iwana Krystewa na temat wyników wyborów parlamentarnych, w których Bułgarska Partia Socjalistyczna zdobyła 125 miejsc w dwustuczterdziestoosobowym Zgromadzeniu Narodowym, „Gazeta Wyborcza” opublikowała pt. „Bułgaria w rękach komunistów”. Prawda, że to groźnie brzmi?



Grudniowe spotkanie prezydenta Lecha Wałęsy z prezydiami klubów poselskich SLD i PSL prasa oceniła w kategoriach sportowych. Trzy do dwóch, dwa do trzech itp. A ja uważam, że przede wszystkim koalicjanci zachowali się jak dżentelmeni. Żadnych pyskówek ani połajanek. Byli konkretni, stanowczy i uprzejmi. Zgoda inaczej przebiegało spotkanie prezydenta z Klubem Parlamentarnym Unii Wolności.